Rozmaitości

Dnia 5. Września **N^er. 36.** Roku 1840.

MARYNA MNISZCHÓWNA.

POWIEŚĆ ROMANTYCZNO-HISTORYCZNA.

Podług rossyjskiego.

Byłoto roku 1587, gdy Zygmunta królewicza szwedzkiego, ostatniego potomka Jagiellonów, królem polskim obrano. Wstąpienie jego na tron oznaczone było strumieniami krwi, i ta w ciągu cztérdziestopięć-letniego panowania jego nieustannie prawie płynęła. Rokosze Zebrzydowskich, Radziwiłłów, Zborowskich i bunty Kozaków, wniosły wszelkie klęski niszczącéj wojny domowéj do nieszczęśliwéj Polski; a wojny z Turkami o odzyskanie Multan i Wołoszczyzny, wreszcie najazdy Szwedów z powodu następstwa tronu, wyczerpały siły królestwa. Król Zygmunt III. podżegniony dumą fałszywą i pałający wielką gorliwością dla wiary katolickiéj, którą co raz więcéj rozszérzać usiłował, chciał uderzyć na Rossyją dla odzyskania utraconych prowincyj i fałszywego Dymitra posadzenia na tronie. Po tych więc dniach krwawych, dotykających srodze naród cierpiący, nadszedł nareszcie rok 1605, w którym wspiérany od różnych osób samozwaniec, przebywał w Polszcze, gdzie umiał zbiérać stronników, co łatwowierni lub chciwi zysku, uznawali go za prawego dziedzica korony Carów. Powiodło się mu po mianém u króla posłuchaniu, któremu od Rangoniego, Nunciusza papiezkiego, był zalecony, (za co obiecał Stolicy Apostolskiéj, iż Rossyją do przyjęcia wiary katolickiéj nakłoni) pozyskać przychylność Zygmunta. Król polski wyznaczył mu roczną pensyję, pozwolił panom polskim wspiérać jego zamiary i zbiérać wojsko dla niego w swych dobrach. Przy tém wszystkiém jednak był Zygmunt zbyt przezorny i otwarcie nie zrywał z Rossyją, owszém wypadkowi temu dawał postać sprawy prywatnéj, nie mającéj związku ze sprawami Rzeczypospolitéj.

Na tronie rossyjskim siedział wtedy Borys Godunów, łączący z wielką hojnością tę chęć chwalebną, iż oświatę i obyczaje europejskie chciał do Rossyi wprowadzić. Powiodło się mu nawet, lubo w ciągu krótkiego panowania, wiele dobrego zdziałać dla kraju; ale ponieważ koronę zbrodniami pozyskał, nie mógł więc panować z taką względnością i spokojnością, jakiémi tylko niewinne sumienie wyłącznie szczycić się może. Zgubny jad nieufności głęboko zagnieździł się w jego sercu; bojaźń utracenia zaledwo pozyskanego berła ciągle go niepokoiła, a przeto świetny tron swój miasto jenijuszów światła otoczył ponuremi duchami ciemności. Idąc ciągle za popędem swych niecnych wzruszeń, ściągał na dwór swój ludzi bez charakteru i dzielnéj woli; lepszych, hołdujących sprawiedliwości, oddalał: bo niewydawali mu się zbyt wiernymi; a lubo wystrzegał się traceń publicznych, nie jedno życie szlachetne padło jednak w cichości ofiarą jego nieograniczonéj żądzy panowania. Obyczaje ludu i cnoty były tém skażone, bo nigdy noc wieczna nie zakryje występnych czynów zbrodniarza, a co w ciemności dojrzéwa, musi nareszcie światłem prawdy wykłuć się do życia. Zemsta i chciwość wzajemnie sobie

pomagały, napastowano życie spokojne czynnego w ukryciu obywatela, rozrywano najświętsze węzły, rozprzęgano stosunki obywatelskie, a miłość i przyjaźń, te dwa kwiaty niebiańskie, ułumiano w samym zarodzie. Niebo nawet zdawało się gniewliwie patrzéć na te dzikie postępki ludzi, gdyż do téj serce rozdziérającéj zgrozy, jeszcze głód się przyczynił. Zamięszanie było powszechném, a Godunowa głoszono wszędzie sprawcą tych wszystkich przerażających wypadków.

W tak nieszczęsnym stanie Państwa Rossyjskiego nie trudno było samozwańcowi skłonić na stronę swoję lud i bojarów, i nieomieszkał on z chwili pomyślnéj korzystać. Z 10 do 15,000 wojskiem, zebraném w Polszcze, przeszedł przez Dniepr, niedaleko Kijowa, w kierunku ku Moskwie. Wszędzie rozgłaszana bajka o cudowném ocaleniu Carewicza Dymitra Iwanowicza, dobry czyniła skutek; a lud ruski, odznaczający się zawsze wierną przychylnością do prawych panów swoich, garnął się do fałszywego Dymitra. Wojska Godunowa słabo walczyły, odbiegło męztwo. Bojarowie i szlachta schlébiając otaczali nowego władcę i wkrótce Dymitr zasiadł na krwią zbroczonym tronie, który Borys Godunów przez samobójstwo uwolnił, a na którym syn jego Fedor, w młodocianym wieku będący, w czasie tak burzliwym utrzymać się nie mógł.

Nim samozwaniec Polskę opuścił, chytrą uwagę swoję zwrócił na pewny dóm znakomity kraju tego, by przez połączenie się wesprzéć tron uzyskany, lub w razie nieszczęśliwym, pewny miéć przytułek. Głową domu tego był Jérzy Mniszech, wojewoda sandomiérski, znaczeniem i majątkiem równający się najpiérwszym panom Polski, spokrewniony z najznakomitszémi rodzinami korony i Litwy i w szczególnych łaskach u króla. Z familiją tą więc umyślił połączyć się Dymitr, na któréj dumném łonie szczęśliwie spoczywała zaledwo rozkwitnięta róża.

Maryna Mniszchówna była jedną z najpowabniejszych dziewic swojego czasu, a natura uposażyła ją obficie w rzadkie przymioty ciała i duszy. Lubo dotąd w cichéj samotności żyła na zamku w Samborze, pogłoska o jéj wdziękach i bogatym posagu, rozeszła się jednak aż do najdalszych prowincyj. Ze wszech strón najznakomitsi i najwaleczniejsi młodzianie szlachty polskiéj biegli do nóg nadobnéj dziewicy, ofiarując miłość i żądając miłości. Ale nadaremną była nadzieja niejednego szczérze pragnącego serca. Nieugięta duma ojca i nieustanne hołdy, składane wdziękom Maryny, wznieciły i w jéj dotąd czystéj duszy iskrę nienajszlachetniejszych uczuć. Przez śmierć pozbawiona wcześno dobréj matki, która byłaby ją pewnie sposobem łagodnym po prawéj drodze powiodła, niestrzeżona od kochającéj istoty i zostawiona sama sobie, stała na ukrytych ciérniach różami osypanego świata. Jeszcze roku ośmnastego nie dobiegła, gdy samozwaniec po raz piérwszy zjawił się w Samborze. Powiérzchowność męża tego, nie mogła bynajmniéj w takiéj jak Maryna dziéwicy, wzniecić miłości i zaufania. Blade, wyrazu pozbawione rysy twarzy jego, nosiły piętno nizkiego rodu, a więcéj jeszcze, małéj wartości duszy; z wklęsłych ócz, ocienionych dużemi rudemi rzęsami, przemawiały hydne namiętności: podstęp i złość; obyczaje jego nie były łagodne, obcowanie ani przystojne, ani ujmujące, a ciągłe ponure ślęczenie nad planami przyszłości, nadawało postaci jego wyraz szpiegostwa, który najobojętniejszego nawet, nienajprzyjemniéj dotyka. Maryna mimo tego jednak przyjęła dobrze zaloty Dymitra; zezwoliła nawet na związek ślubny, wszakże pod tym tylko warunkiem, jeźli Dymitr tron Carów posiędzie, do czego Mniszech obiecał mu wszelką pomoc ze swojéj strony.

* * *

Gdy wypadki te działy się w Moskwie i Samborze, w zaciszy wiejskiéj żył z rodziną swoją Różycki, nie bogaty, ale zacny szlachcic polski. W sercu swojém mocno ubolewał nad ciérpiącą ojczyzną i dla jéj ocalenia byłby raz jeszcze z ochotą podniósł tylekrotnie doświadczone już ramię; ale wiek podeszły wstrzymując go w domu, nie pozwalał jak niegdyś, nowemi wieńczyć się wawrzyny. Szczupła rodzina ta, oprócz pana domu i małżonki, złożona

jeszcze z syna i dwóch kwitnących córek, siedziała właśnie przy skromnéj wieczerzy, gdy sąsiad z poblizkiéj wioski samotność jéj przerwał.

»Dobry wieczór waszeci mości Kowalski«, zawołał Różycki na wchodzącego, »cieszy mnie, że waszmość tak dobrym jesteś sąsiadem; wieczory i tak już długie być zaczynają, nie można jak zwykle przejechać się w pole, bo natura zabiéra się do snu zimowego; najlepiéj zatém posiedzieć z przyjacielem w dobrze opatrzonéj komnacie. No« mówił daléj starzec, »nic tam Waszmość nowego nie słyszeliście? Wszakże wszędzie bywacie!«

»Są nowiny, ale niestety! nie najlepsze«, odrzekł pan Kowalski. »Przybywam właśnie z zamku Samborskiego. Tamto życie, stary przyjacielu, powiadam tobie życie, jakiego dawno już nie widziałem. Ale boję się« dodał tonem wieszczym, »czy tylko przebiegły Mniszech tą razą się nie oszukuje; życie to dumnym planom jego zapewne śmierć przyniesie, a jad namiętności zrani i zniszczy niewinne dotąd serce Maryny, nawet....«

»Dla Boga!« przerwał mówiącemu syn domu, Jan Różycki, »zaklinam Was, mówcie co się dzieje z Maryną, czy jakie niebezpieczeństwo zagraża jéj cnocie?« Wszyscy zdziwieni spojrzeli na młodzieńca, który słowa te z głębokiém wyrzekł uczuciem, a którego oblicze w chwili jednéj śmiertelną okryło się bladością.

»Coś bardzo wiele obchodzi cię los Maryny«, rzekł pan Różycki zwracając się po długiéj przykréj przerwie do Jana.

»Nie więcéj niż wypada«, odpowiedział tenże, ciągle jeszcze z widoczném pomieszaniem; »Maryna wszakże jest zawsze mi drogą, jako towarzyszka młodości mojéj. Ale przebaczcie« mówił daléj, opuszczając siedzenie i zbliżając się do pana Kowalskiego: »przebaczcie wybuchom młodzieńczego umysłu i kończcie opowiadanie Wasze.«

»Mało do niego mam dodać«, przemówił Kowalski, »bo wieść ta zapewne już i do Was doszła, że Maryna pójdzie za Carewicza Dymitra, który zasiadł na tronie Carów, i że ten przy odjeździe do Moskwy, pozyskał już słowo ojca i córki; z tąd więc takie życie w Samborze. Resztę sami sobie łatwo wyjaśnić możecie, a o mnie, który Wam młodzieńcze szczérze sprzyjam, bądźcie przekonani, że mnie to mocno boli, iż Wam smutek powieścią moją sprawiłem.«

»Jan jest mężem«, odrzekł pan Różycki, urażony cokolwiek, »a gdyby nawet wypadek ten miał boleść mu sprawić, stale znieść ją potrafi.«

Młodzian odpowiedział na to tylko wyrazistém spojrzeniem, a pan Kowalski wkrótce sąsiadom dobréj nocy życząc, zabrał się do odjazdu, bo uważał, że przez ten szczególniejszy postępek Jana, w zły humor dom cały zapadł.

* * *

Noc ponurym płaszczem okryła śpiących mieszkańców ziemi. Wiatr ostry szumiał przez lasy, już prawie z ozdób odarte, i słabo tylko blade światło księżyca przedziérało się przez ciemne obłoki. W całéj przyrodzie było cicho i spokojnie i tylko niekiedy słyszano z dala wycie zgłodniałych wilków.

Jezdny długim ciemnym płaszczem odziany, spieszno pędził śród samotnéj nocy, to znaglając do pośpiechu swego rączego rumaka, to znowu pochlebnie głaszcząc kark źwiérzęcia. — »Zgrozy natury ten tylko lękać się powinien, w którego piersi czyste serce nie bije; moje nie zna innéj trwogi, krom utracenia Maryny, bez niéj życie nié ma dla mnie żadnych powabów.« Tak mówił jezdny do siebie, widząc się okropną ciszą otoczonym, co najodważniejszego nawet byłaby w stanie zatrwożyć. Czytelnicy domyślają się zapewne, że to nie kto inny, tylko Jan Różycki, co zapomniawszy o wszystkiém i tylko idąc za popędem uczuć miłości, śród nocy dom ojcowski opuścił. Nieodgadniona trwoga opanowała go, gdy po odjeździe pana Kowalskiego udał się do cichéj sypialni. Mocny niegdyś duch jego uczuł się być najdotkliwszym bolem dotknięty; zapragnął spokojności i rzucił się na łoże. Ale nadaremnie, anioł spokoju do niego przybliżyć się nie chciał. Sny dzikie z lekkich wyrywały go marzeń: obraz Maryny blady, zmieniony, z włosami, które w rozkosznie rozpuszczonych uplotach po pięknéj szyi spływały, z wyrazem straszne

rozpaczy w rysach nadobnych, miészał się w mdłe utwory rozognionéj jego wyobraźni. »Boże, zginęła!« zawołał nagle i zerwał się z łoża, na którém jak na sztyletach leżał. Helena, starsza siostra Jana, spiąca w pobocznéj komnacie, a która tęskném przeczuciem dręczona, także oka zmrużyć nie mogła, usłyszawszy wykrzyk boleśny brata, pełna troski najczulszéj wbiegła do sypialni Jana. »Co tobie kochany bracie?« zapytała tonem, jak można najłagodniejszym. »Jak uważam, sny cię niepokoją.«

»Nie, kochana Heleno«, odpowiedział Jan »bądź z tego względu spokojną. Coś mi nie dobrze, ale nic więcéj«, dodał uspakajając ją.

»Ach! tóżto jest właśnie, co mnie zatrważa«, mówiła daléj Helena, »słaby jesteś Jasiu, bardzo słaby, wprawdzie nie na ciele, ale na duszy. Proszę cię, otwórz siostrze serce swoje, poufność troski pomniejsza.«

»Słusznie mówisz Heleno«, odrzekł brat, a więc w kilku słowach usłysz wszelką niedolę, wszelką tajemnicę moję: kocham Marynę Mniszchówną.«

»Toć nie oszukało mię przeczucie!« zawołała Helena; »biédny Janie, jakże ubolewam nad tobą, bo wierzaj mi, dumna dziewica ta nie mieści kochającego serca w swém łonie.«

»Nie sądź tak Heleno«, rzecze Jan usprawiedliwiając kochankę, »tylko duma ojca mogła promień niebiański zgasić w jéj szlachetném sercu.« Gdy siostrze powoli cały stan duszy odsłonił i opowiedział, że ma nadzieję, iż Maryna nie jest mu nieprzychylną, że nawet widocznie przenosi go nad innych, nadeszła północ i Helena zabiérała się do spoczynku. »Jedno jeszcze uczyń dla mnie kochana Heleno«, rzekł Jan do oddalającéj się dziewicy. »Jutro bardzo rano wyjeżdżam ze starostą na łowy, na które, iż mnie zaprosił, i ojcu naszemu wiadomo. Powiédz więc rodzicom w imieniu mojém dzień dobry, i u siebie zachowaj tajemnicę brata!«

Po tém poufném zwierzeniu się ukochanéj siostrze, ulżyło się cokolwiek sercu Jana; ale tysiączne plany krążąc po jego głowie, ani snu, ani spoczynku mu niedawały. Stanął w oknie i zamyślony w noc milczącą poglądał. »Tak« zawołał nareszcie, »chcę, muszę być u niéj, muszę ją widzieć, mówić z nią, wyznać jéj miłość moję i wskazać przepaść, nad którą przywiodły ją duma i chciwość ojca. Zapewne nieubłaganą nie będzie.« Témi i tém podobnémi myślami sam starał się omamić siebie i wkrótce, jak już widzieliśmy, puścił się w drogę. Przekonawszy się bowiem, że Helena już spała, a inni mieszkańcy domu uciszyli się także, zawołał wiernego sługę, dwa konie osiodłać kazał, i w towarzystwie pacholika, udał się gościńcem do Sambora, dokąd go wzywał pełny przeczucia głos serca.

* * *

Gdy wieść o staraniu się Cara o rękę Maryny Mniszchównéj coraz głośniéj rozchodziła się po Polszcze, Maryna upajaną była wirem rozrywek, które ojciec dosyć chytrze wynajdywać umiał, ażeby jéj ani na chwilę nie dać zastanowić się nad sobą. Ale nawet pośród świetnego blichtru czczéj wielkości ziemskiéj zdawało się dziewicy, że prawdziwe szczęście nie w prędko przemijającéj rozkoszy przemieszkiwa. I dzisiaj wszakże, gdy na cześć jéj przepyszną ucztę dawano, serce jéj nie było zaspokojone w tym burzliwym zamęcie; uczucia, których prawdziwego znaczenia odgadnąć nie mogła, obudzały w jéj łonie dotąd niedoznaną tęsknotę, i cicho, nieznacznie, prowadziły ją w krainę nowego idealnego świata, pełnego marzeń uroczych. Tak gdy marzyła, zdawało się jéj na raz, jak gdyby z pośród snów tych wywijała się postać znajomego młodziana, który w rysach pięknéj męzkiéj twarzy wyrażał smutek i tkliwe pożądanie. Tajemnice dziewiczego jéj łona zostały odgadnione, odkrytą ciemna zagadka serca, i z ócz pięknych łzy na pierś czystą popłynęły. Nie bez wewnętrznego oburzenia uważał Mniszech cichą posępność córki i jéj niepojęte roztargnienie podczas okazywanych hołdów. — »Zdajesz się zapominać o tém, że przeznaczoną jesteś nosić koronę Carów«, z cicha, ale z gniewem szepnął jéj ojciec na ucho, gdy zmieniony jéj humor wszystkich uważnymi czynił. Maryna zadrżała widocznie. »O Boże!« rzekła do siebie, »życie ludzkie jakże jest biédne

bez miłości!« Mimo usiłowań wszelkich nie mogła do dawnéj wesołości powrócić, nic więc nie zostawało jéj, jak tylko oddalić się z uczty i szukać samotności, téj towarzyszki wszystkich ciérpiacych.

Blade promienie słońca październikowego dawno już przebijały się przez zielone zasłony u okien sypialni Maryny, ale zawsze jeszcze te przyjaźne młodego dnia posłanniki, znajdowały dziewicę czuwającą na miękkiém łożu i poddającą się złotym marzeniom czynnéj duszy. Kilkakrotnie już, w lekkim oddechu westchnienia, z pięknych ust jéj wymknęło się nam tylko nie obce imię, bo byłto obraz Jana, który zeszłéj nocy odbił się w czystém źródle miłego jéj przypomnienia. Nie zapomniała wprawdzie towarzysza szczęśliwszéj młodości swojéj, ale oczekujący ja los świetny i pochlébstwa, którémi własny ojciec nie wahał się ją upajać, ażeby co raz bardziéj podniecać w niéj zapał obudzającéj się dumy, powoli nareszcie oddalały z jéj myśli pamięć o młodzieńcu; teraz zaś, gdy głos jakiś wewnątrz odkrył jéj wcale inne znaczenie życia, niż je widziała w blasku znikoméj okazałości, obraz Jana znowu żywo do jéj serca powrócił. Duch jéj z tkliwością i wzrastającym udziałem zatrzymywał się mianowicie przy jednym niezapomnianym wypadku lat piérwszych młodości: byłto wieczór, w którym zwłoki ukochanéj jéj matki chowano w rodzinnych grobach kaplicy. Spoczywały one na paradnym żałobnym katafalku w sali, czarnym adamaszkiem obitéj, otoczone jarzacémi światłami; wtedyto dziewięćletnia właśnie Maryna z Jasiem Różyckim, towarzyszem młodości swojéj, raz jeszcze przystąpiła do zmarłéj matki, oddać jéj ostatnie pożegnanie.

»Jak mama spi pięknie«, rzekła Maryna do Jasia po chwili milczenia, »i ja bym tak spać chciała.«

»Gdybyś ty tak zasnęła Marysiu«, odrzekło rozczulone pacholę, »i ja bym się już nie chciał obudzić, bo życie bez ciebie, byłoby smutném dla mnie.«

»Z czasem zapomina się wszystko«, mówiła daléj Maryna.

»Ja nigdy ciebie nie zapomnę«, przerwał Jasio. »Nie mógłbym być szczęśliwym, gdybym ciebie nie widział i nie bawił się z tobą. Daj mi co na pamiątkę«, prosił małéj dziéwczyny, »jak wyrosnę, to ci dar ten pokażę, a gdybyś kiedy o mnie zapomnieć miała, wtedy sobie możę przypomniész.«

»Z chęcią kochany Jasiu dam ci pamiątkę«; rzekła Maryna i uszczknęła kwiatek z wieńca, którym dziécięca jéj miłość trunnę matki przyozdobiła. Przypadkiem była to *astra*.

»To nie jest kwiat radości«, smutnie Jaś rzecze, »on nie przyniesie szczęścia! — lecz zatrzymam go, bo od ciebie pochodzi.« — Wspomnienie tego wypadku lat młodocianych całą istotę Maryny smutkiem przejęło.

»Dawno już nie widziałam Jana«, rzekła do siebie po niejakim czasie, »czyli téż teraz tak myśli, jak wtedy? O! niezawodnie« głos wewnętrzny z cicha jéj szepnął: »serce jego niezmieniło się zapewne.« Po raz piérwszy czyniła porównanie między nim a przeznaczonym małżonkiem, i rzecz naturalna, że Jana męzka, skończona piękność, w dziewiczém porównaniu zwycięztwo odniosła. »Ach!« zawołała boleśnie, »gdyby Jan był Carem Rossyi, o jakże szczęśliwe życie pędziłabym wtedy przy jego boku!«

»Co widzę!« rozmowę samotnéj przerwał surowy glos męzki, »ty we dnie nawet marzysz?« Byłto ojciec, który niepostrzeżony wszedłszy do komnaty, ostatnie jéj słowa zasłyszał. »Przychodzę«, mówił daléj, »czynić ci wyrzuty za wczorajsze zachowanie się twoje. Przyszła samowładcy Rossyi małżonka, w sercu swojém mieścić ma dwa uczucia: dumę i politykę, wszystkie inne milczéć powinny.«

»Czyliż monarchom nie wolno czuć po ludzku!« odrzekła dziewica pełna szlachetnéj niechęci, »jeźli tak jest, o jakże są nieszczęśliwi ci, których korona zdobi, szczęśliwsi daleko ubodzy w zakacie chaty swojéj!«

»Spodziéwam się«, mówił z powagą wojewoda sandomiérski, »że innego będziesz zdania, jak tylko czas jakiś purpurę ponosisz. Inaczéj« dodał z dumnym uśmiéchem, własne zadowolenie malującym, »nie byłabyś córką moją, córką Jérzego Mniszcha!«

Gdy wojewoda odszedł, Maryna prędko się ubrawszy, wyszła do ogrodu zamkowego, ażeby pod wypogodzoném niebem jesieni ulżyć przepełnionemu sercu, a oraz święty wypełnić obowiązek: dzisiaj albowiem była rocznica śmierci matki, i w dniu tym Maryna zwykła była zawsze drogi grób jéj odwidzać. Kaplica grobowa stała w środku ogrodu, zakryta cieniem melancholijnych wiérzb i świérków; do niéj więc powolnym krokiem zbliżała się dziewica, gdy w tém usłyszawszy nagle szelest za sobą, obraca się — i — któżby nie dzielił radośnego jéj zadziwienia — zapłakane jéj oczy utkwiły w bladém licu Jana. »Mój Boże!« zawołała nie bez widocznego, jednak wewnętrzną radością zmniejszonego pomieszania, »pan Różycki tutaj!... Cóż Waszmość porabiasz w Samborze i co go tak rano ze snu wyrwało?« Mocny rumieniec okrył na te słowa twarz Jana, i gdy zbliżywszy się do Maryny rękę jéj do ust pałających przyciskał, rzekł głosem żałośnym:

»Maryno, kwiat, któryś mi ongi dała, zwiądł dawno już, ale miłość moja wiecznie kwitnąć będzie!«

»Ach!« odrzekła Maryna z czułością, »więc młodzian dotrzymał tego, co, będąc dzieckiem przyrzekł; dawno już sądziłam, że Waszmość zapomniałeś o mnie, bo dawno« dodała z lekkim zarzutem, »nie słyszałam o Was.«

»Mógłżem mieć tyle śmiałości i zbliżać się do oblubienicy Cara, która tylko przyszłém szczęściem swojém zdawała się być zajętą!«

Maryna chciała coś odpowiedzieć, lecz wydało im się, jak gdyby kogoś nadchodzącego usłyszeli. »Pójdźcie Janie« rzekła, gdy wszystko znowu ucichło«, »pójdźcie do kaplicy ze mną; tu mógłby nas zejść kto, ale tam, pod opieką umarłych bezpieczni będziemy.« Głębokie, święte milczenie owionęło kochanków w téj cichéj krainie śmierci, i przeniknęło ich duszę wieszczém drzeniem. »Tu jesteśmy sami«, rzekła Maryna po uroczystéj przerwie, pomijając ostatnie wyrazy Jana: »Tu nas nikt nie usłyszy, krom ducha matki mojéj; teraz Janie mów śmiało ze mną i powiédz, co tak niespodzianie sprowadziło cię do Sambora!«

»Nic«, odrzekł młodzian, »nic w świecie, tylko obawa o doczesną i wieczną szczęśliwość Wasze. Maryno«, zawołał głosem namiętnym, »stoisz nad groźną przepaścią, któréj zgubni mieszkańcy olbrzymie ku tobie wyciągają ramiona, by cię porwać w bezdenną otchłań. Własny ojciec spiesznym krokiem do zguby cię wiedzie; nikt z ludzi nie śmié powiedzieć ci prawdy, jad zabójczy pochlébstwa ze wszystkich ust płynie do twych uszu, nawet do twego serca pani, a nikogo nié ma, by cię przestrzegł, by cię ocalił!« Tu Jan przestał mówić, bo róże na licu Maryny w lilije pobladły, a wzrok pałający żywość utracił. »Wzruszoną jesteś«, rzekł łagodniejszym głosem, uczuwasz władzę wszystkopokonywającéj miłości i w chwili téj natchnienie wyższéj istoty. »Pozwól Maryno«, mówił coraz tkliwiéj, obejmując w ramiona kochankę, »pozwól, bym ja był twoim wybawcą; odrzuć tę ponętną koronę z jéj wszelkim zwodniczym blaskiem i obierz na mojém wiernem łonie spokojne szczęście czystéj miłości!« Serce Maryny wzruszone było. Ognista miłość przyjaciela lat młodocianych, zapał wymowy jego uniósłszy i ją także w słodkie zapomnienie, wymogły z ust jéj przysięgę wiecznéj wierności; cicho łkając padła w objęcie kochanka.

* * *

»Musiało ci się wieść dobrze na łowach wczorajszych«, rzekł nazajutrz pan Różycki do wchodzącego w świetlicę syna.

»Nadspodziéwanie mój ojcze«, odrzekł Jan.

»Słuchaj Janie«, mówił starzec utkwiwszy spojrzenie w zarumienionego młodzieńca, »nie jesteś otwartym dla mnie; przez cóż nie zasługuję na zaufanie syna?«

»O mój ojcze! mój dobry ojcze!« wyrzekł zmięszany młodzian i rękę na mocno-bijącém sercu położył.

»Sądzisz Janie, że w moich piersiach lód się mieści, dla tego, iż starość zbiélila już włosy na głowie? Nie — w piersiach wiosna pozostała, chociaż zima zewnątrz kołace. Znam serce młodzieńcze«, dodał łagodnie, »jego tęsknoty i nadzieje; ale choćbym sobie tego najmocniéj życzył, nie mogę i nie powinienem uchwalać miłości twojéj. Maryna nie przyniesie szczęścia prostemu szlachcicowi, nigdy nie zamieni korony na skromny wieniec mirtowy, który dać jéj w stanie jesteś.«

»Ona mi wierność poprzysięgła«, zawołał Jan i wzniósł oczy ku pogodnemu niebu, gdyż i w duszy jego jaśniało niebo najpogodniejszéj szczęśliwości. Nadaremnie w ciągu rozmowy starał się pan Różycki odwieść młodzieńca od namiętnych uczuć i przekonać go o niemożności bliższych związków z Maryną; był nieporuszony i wierny miłości, która całą istotę jego świętym zapałem przejmowała.

* * *

W Krakowie tymczasem było wszystko w największym ruchu, gdyż król Zygmunt III obchodził właśnie zaślubiny z Konstancyją księżniczką rakuzką. Wielu znakomitych cudzoziemców i panów polskich uświetniło obecnością swoją wyprawiane wtedy festyny, a nawet Anna, królowa szwedzka, przybyła na zaproszenie królewskiego brata. Do tego wesołego życia, w którém tylko radość panowała, mięszał się inny wielkiéj ważności przedmiot. Poseł moskiewski, Afanazy Własyjew, zjechał do stolicy, zawrzéć związek z królem polskim imieniem nowego władcy Rossyi, zaślubić przez zastępstwo Marynę Mniszchówną i małżonkę pana swojego odprowadzić do nowéj ojczyzny. Afanazy Własyjew był to przebiegły, zwinny, w sprawach dyplomatycznych doświadczony mąż i z duszy przywiązany do domu Szujskich, który dawno już ubiegał się o koronę rossyjską. Na posłuchaniu publicznem zawiadomił króla o zamiarze poselstwa swojego; ale potajemnie starał się siać kąkol niezgody i rozgłaszał niekorzystne wieści o samozwańcu Dymitrze. Ni król, ni Jérzy Mniszech, do których uszu wieści te dochodziły, nie chcieli bynajmniéj dać im wiary, lub może tak udawano; Maryna jedna tylko smuciła się powiędłemi kwiatami swych najsłodszych nadziei. Od owego poranku, gdy Jan się z nią widział u grobu matki, raz jeszcze

tylko w tém świętém miejscu mówili z sobą kochankowie, gdyż chytrzy służebni, wybadawszy tajemnicę, donieśli o tém Mniszchowi, a ten odtąd córki z oka nie spuszczał. Przy ostatniém widzeniu się namawiał Jan Marynę, ażeby z nim do Szwecyi ucickła, gdzie królowa Anna, siostra Zygmunta, pani tkliwie myśląca, a któréj Maryna wszystkiego się zwierzyła, przyrzekła kochankom królewską opiekę. Ale bądź, że ojca chytrze przekonywające namowy (który się jednak planu ucieczki nie domyśliwał), bądź że uczucie wierności dziécięcéj i miłości ojczyzny, lub może wrodzona, a nigdy zupełnie nieuśpiona żądza dumy mocniejszą była u Maryny nad miłość, dosyć, że zaniedbała korzystać z przeznaczonego do ucieczki czasu, jako jedynego sposobu wybawienia, a rozkochany Jan nadaremnie oczekiwał chwili, w któréj radośna jutrzenka miała noc życia jego oświecić. »Oby korona nie ciężyła nigdy na twéj pięknéj głowie«, rzekła Anna w dzień ślubu*) do powabnéj oblubienicy, własnémi rękoma wpinając mirt w upioty jéj włosów. Maryna tajną zgrozą zadrżała; lecz wkrótce upamiętawszy się odrzekła z wrodzoną sobie godnością i wdziękiem: »Wytrwale dążę koleją losów moich; dano mi koronę, nie pragnęłam jéj nigdy.« Królowa chciała coś odpowiedzieć, wtym do świetnie przybranéj sali wszedł poseł, zbliżając się do dam z uszanowaniem. Wzrok Własyjewa spoczął mimowolnie na pięknéj postaci Maryny, która upowabniona urokiem wdzięków i powabem młodocianego wieku, prawdziwemu aniołowi była podobną. Uczuł poruszenie serca. »Obyś szczęśliwą była piękna dziewico!« rzekł głosem zaledwo dosłyszanym, schylając się ku zarumienionéj, gdy ta niemém tylko skinieniem głowy podziękować mu mogła. Za przybyciem króla, cały orszak ruszył w pochód: naprzód szedł monarcha z dworem swoim, za nim postępował poseł prowadzony przez panów polskich, a daléj szła Maryna obok królowéj Anny, wielu znakomitemi paniami i licznym dworem otoczona.

Kardynał Maciejowski ślub dawał podług obrządku kościoła katolickiego i w mowie mianéj starał się wystawić korzyści, dla państw obu z tego związku wyniknąć mające. W onéjto chwili stanowczéj Maryna pałające wyrazów pełne spojrzenie wgórę podniosła, a dusza jéj z zapałem nieszczęśliwéj miłości rozpłynęła się w cichéj osnowie modlitwy.

Nowo-zaślubioną po skończonych obrzędach ślubnych, obecni Carowę Rossyi powitali. Poseł imieniem pana swojego wręczył jéj kosztowne dary; te wprawdzie mile przyjęła, lecz ich znikoma wartość bynajmniéj poświeconego szczęścia życia wynagrodzić nie mogła. Wspaniała uczta, na którą dwór cały i wszyscy będący pod on-czas w Krakowie panowie zagraniczni zaproszeni byli, zakończyła dzień ten dla Maryny Mniszchównéj pamiętny. (Ciąg dalszy nastąpi.)

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 34. i obejmuje: 1) O własnościach fizycznych i chemicznych części składowych gruntu. (Ciąg dalszy.) 2) O uprawie i zbiorze Mydlnicy (*Saponaria*). 3) Ubezpieczenie dachów słomianych od ognia. 4) Odnrzenie widoczne u koni wyléczyć. 5) O fabrykacyi potażu. 6) Wiadomości czasowe.

Pan Karol Korwell w gazetach warszawskich ogłasza, że wydawany przez siebie noworocznik: *Niezapominajki* i na rok 1841 wydać zamyśla. — W Warszawie zapowiedziano także wyjście *Noworocznika dla płci pięknej*. Takowy odmienny dążnością od *Pierwiosnka*, również płci pięknéj poświęconego, zamiast czczych wierszydeł, jak wyrażono w prospekcie, zawierać ma mianowicie przepisy tyczące się toalety damskiéj, gospodarstwa domowego i zachowania zdrowia.

W dniach ostatnich września r. b. wyjdzie niezawodnie z druku w Warszawie poema historyczne; z wieku XI. pod tytułem: *Walgierz*, z dołączeniem dramatycznego poematu: *Bandyta;* oryginalnie przez Antoniego Szacińskiego napisane.

Czytamy w *Gazecie Krakowskiéj*, że znana publiczności naszéj panna Teresa Palczewska, grywa ciągle na teatrze w Kaliszu, śród powszechnego zadowolenia widzów.

Praskie pismo *Ost und West* zawiéra w »Dodatku« do Nru. 65 krótką biografiję sławnéj artystki teatru warszawskiego, Leontyny Żuczkowskiéj, zamężnéj Halpert, urodzonéj w byłém województwie sandomierskiém roku 1805. Autor biografii pan Wedel, oddaje największe pochwały mistrzowskiéj grze jéj, tak w tragicznym jakoteż komicznym zawodzie.

W Wiédniu wyszło z pod prasy u Gerolda pismo słowniko-historyczne grecko-ruskie z wieku XII—XIII. z dodatkiem krytycznym różnych pism sławiańskich; pod napisem: *»Hessychii Glossographi discipulus et epiglos»sistes Russus in ipsa Constantinopoli Sec. XII—XIII. e co»dice Vindeboniensi graeco russica omnia, additis aliis purae »graecis, et trium aliorum cyrillum lexici codicum specimi»nibus, aliisque miscellaneis philologici maxime et slavistici »argumenti, nunc primum edidit, et scientiarum academiis »Berolinensi et Petropolitanae si quidem mereantur promo»vendo sistit BARTHOLOMAEUS KOPITAR Augustissimo »Austriae Imperatori a Bibliothecae Palatinae custodia et »utriusque Academiae sodalis — cum tabula aenea graeco-russa. Vindebonae*, 1839. — Stronic XIV—72 w wielkiéj 8ce. Należałoby się Sławistom z tém uczoném pismem obeznać. *A....*

Niedawno umarł w Węgrzech Jan Czemicki, sławny tamże jako poeta w narzeczu sławackiém. Co roku odbywał on dalekie podróże i lubiony był jako improwizator. Zostawił w rękopisie cztéry zeszyty poezyj. *(Ost und West.)*

Olbrzymia gazeta. Gazeta Londyńska *the Thimes* dnia 25go czerwca r. b. zamiast wośmiu, wyszła w szesnastu ogromnych stronicach, z których każda sześć, a zatem wszystkie razem, dziewięćdziesiąt i sześć szpalt liczą. Prawie połowa jéj zapełniona jest obwieszczeniami, z których dochód, licząc po szylingu od wiersza, tylko w tym jednym egzemplarzu gazety, niemal 700 funtów szterlingów wynosić może. Ogółowa treść jéj objęłaby przynajmniéj trzydzieści miernych arkuszy w ósemce, a redaktorowie gazety *Times* utrzymują, iż w tym numerze dostarczali największéj masy nowin, jaką tylko w przeciągu dwudziestu cztérech godzin kiedykolwiek podano do wiadomości publicznéj. Obliczono, iż ten Ner. gazety 27000 wierszy, a 1,250,000 głosek zawiera, które, gdyby w prostéj linii jednę przy drugiéj uszykowano, prawieby pół angielskiéj mili zajęły.

Lékarstwo na truciznę. Z miasta Andreasberg w Hanowerskiém donoszą: Lékarzowi Dr. Eggeling powiodło się od okropnéj śmierci wybawić szescioro ludzi, którym w potrawach znaczną dozys arszeniku zadano, a u których się już pojawiły widoczne i znajome skutki otrucia. Lékarz ten ocalił ich wodnikiem niedokwasu żelaza, wynalezionym przez doktorów Bunzen i Berthold w Getyndze, a zaleconym jako niezawodne lékarstwo na truciznę. Lékarstwo to w tamtejszych

---

*) Dnia 29. Listopada roku 1605.

aptekach dla potrzeby zawsze jest w pogotowiu. Przypadek ten spotkał królewskiego urzędnika górnictwa i jego rodzinę, to jest żonę, dwoje dzieci, jednego powinowatego i służącę; co tém łatwiéj zdarzyć się mogło, ileże w kopalniach tamtejszych mnóstwo się arszeniku przy topieniu rudy rozwija. Jak znaczna jest ilość ludzi, którzy temu lékarstwu winni sa ocalenie życia, tak też powyższy przypadek jest podobno najpiérwszy w tamtejszém królestwie, gdzie się wodnik niedokwasu żelaza tak zbawiennym okazał.*)

Katolicki kościół w Konstantynopolu. Obecnie przebywa w Konstantynopolu 180,000 katolików, oddanych duchownej pieczy dwiestu kapłanów. Mają 7 klasztorów, z których dwa składają Minoryci, 1 Obserwanci, 1 Franciszkanie, 1 Kapucyni, 1 Dominikanie a 1 Łazarzyści. Dawniéj był tam także niemiecki klasztor ks. Trynitarzy, którzy Chrześcijan z niewoli wykupowali. Oprócz tego jeszcze są dwa kościoły w ręku świeckich księży, którym niezadługo mają także trzeci przyczynić. Ormianie katoliccy mają już teraz 7 kościołów i ulegają władzy prymasa i biskupa sufragana. Arabscy Melchici grecko-unickiego obrządku mają podobnież własnego biskupa, równie jak i Chaldejczycy, których niedawno nawrócono. W kościołach miewają księża co niedziela kazania, zwykle w języku greckim albo włoskim, lecz oprócz tego także dwa razy na miesiąc w języku arabskim, francuzkim, illiryjskim i niemieckim ludowi każą, Ormianie katoliccy opowiadają słowo Boże językiem ormiańskim i tureckim. Klasztory i kościoły są bardzo piękne, a obecnie nawet od ognia zabezpieczone. Wszyscy kapłani prowadzą życie społeczne, mają probostwa i dobrze urządzone szkoły farne, któreto szkoły na religijne i moralne ukształcenie katolików tamtejszych zbawienny wpływ wywiérają.

Dóm, który zamieszkiwał Napoleon na wyspie Stéj Heleny, jest teraz spustoszały; w sali bilarowéj, w któréj Cesarz zwykle grywał, znajdują się między innémi następujące niebardzo ortograficzne jednakże nader charakterystyczne napisy: »Michał Robert, były grenadyjer gwardyi, został majtkiem na statku *Amelie*, aby swego małego kaprala przynajmniéj pomieszkanie powitał. Bywaj zdrów!« Następnie: »Imię moje jest Zygmunt Blanchard. Gdybym tu miał tygrysa Hudsona Love, pożarłbym go mémi zębami. Wiem o tém, iżby to nie najsmaczniejszy był obiad. Podpisano, Blanchard, kapral byłéj gwardyi.« Inny znowu napisał: »Kochałem cię diabelnie, gdyś żył; teraz jeszcze bardziéj cię kocham, gdyś umarł. — Courtois, z 27. pułku piechoty.« Z retorycznych frazesów Lamartina, które zapewne jakiś *bel esprit*, w braku własnego *esprit* napisał, jest następujący: »Wygnanie jest śmiercią.« Pożegnanie starego dobosza, którego Napoleon u podnóża piramid za rękę ścisnął. — Nicolai.« Przy wnijściu do pokoju jest następujący treściwy napis:

»Za życia cały świat,
Po zgonie sześć stóp ziemi.«

I zaraz pod tém jest napis: »Takiemu życiu takiéj śmierci było potrzeba, teraz dopiero dzieło Opatrzności ukończonem zostało.«

Cztery cmentarze Paryża obejmują przeszło 70,000 grobów; niektóre z znajdujących się tamże pomników więcéj niż 100,000 franków kosztowały — 1500 robotników zajmuje się bez ustanku wznoszeniem tak okazałych grobowców jakich dawniéj nie stawiano. Z pewnością rzéc można, iż za głównémi bramami Paryża są większe cmentarze (*nekropole*), niż niektóre miasta europejskie.

Miłość macierzyńska. W dzienniku *Courier belge* czytamy z Roulers co następuje: »Niedawno temu, jak w gościnnym domu »pod księciem Lotaryńskim« wszczął się w nocy pożar, który tak się spieszno rozszerzył, iż mieszkańcy domu ledwie z łóżek uciec mogli. Pewna młoda niewiasta, matka dwojga dzieci, w piérwszym przestrachu umknęła z córeczką przy piersi, gdy tymczasem w okropném zamięszaniu drugie trzyletnie dziécię w domu pozostało. Lecz matka natychmiast przypomina je sobie, wydaje krzyk żałośny, kładzie niemowlę na bruku, i rzuca się w płomienie śród głośnego krzyku przestraszonych widzów, którzy na widok téj wzniosłéj zapamiętałości zdumieli. Nieszczęśliwa naraziła się na śmierć nieuchronną; ale niebo czuwało nad nią. Z osmaloną twarzą, ogorzałémi włosy, kurzącém się okryciem, płacząc z radości i całując dziécię, które z nieuchronnéj zguby wyrwała, pojawia się w progu gorejącego gmachu, ale zaledwie że na kilka kroków od niego się oddala, już dom z strasznym łoskotem w gruzy się zapada.«

Panna Mars. Cały kunszt panny Mars zależał zawsze i zależy jeszcze dotychczas na postawie. Wolter powiedział, iż dobrego aktora powinno królewskie wykołysać kolano; gdyż on musi najdelikatniejsze cieniować uczucia, i powinien szlachetną, królewską mieć postawę. Tymczasem Abraham Felix, ojciec panny Rachel, nie był nigdy królem, tylko faktorem w Leutershausen, równie jak i Talma, który podobnież nie był królem, a wiadomo, że Napoleonowi w pewnych pozycyjach, które mu potrzebne były, lekcyje dawał. Z tém wszystkiém panna Mars wydaje się istotnie, jak gdyby kiedyś była królową. Organ téj aktorki, jest drugiém, rzadkiém zjawieniem natury, jednakże nieraz zdawał się być przesadnym. Jak wielką jedna osoba sprawić może odmianę! Jeszcze przed dwoma laty wszyscy aktorowie *du Theatre français* całą piękność gry zasadzali na donośném wygłaszaniu; lecz gdy panna Rachel wystąpiła na scenę, i gdy się przekonano, że bez wszelkiego krzyku wielkie sprawić można wrażenie, odtąd odzwyczajono się téj przesady, i odtąd pp. Beauvalet, Ligier i wszyscy inni aktorowie, wygłaszają swoje role tak pocichu, że ich zaledwo dosłyszeć można.

Kochinchina słynie najszczególniéj z obfitości drobiu. Po ukończonych zbiorach, pędzą tam 15,000 kaczek na ścierniska ryżowe. Zasługują także na uwagę jaskółki morskie, papugi, kolibry i jak złoto połyskujące się bażanty. Mimo tego dostatku w żywność uboższa klasa nie jest wymyślna, i jada szczury, myszy, robaki, żaby, psy i koty. Nawet krokodyle za przysmaki jéj służą.

Mania. W domu szalonych w Aversa niedaleko Neapolu, jest między innémi dwóch obłąkanych szczególniejszego rodzaju. Jeden z nich wyobraża sobie, że mu jego nos zamieniono, i dla tego na niebezpieczeństwo narażeni są ci, którzy go odwidzają, gdyż on u każdego z nich swój nos upatrując, przemocą go oderwać usiłuje! Drugi zaś mniema się być chemiczną zapałką i gdy się kto ku niemu zbliży, krzyczy okropnie z przestrachu, aby się nie zajął i z dymem nie uleciał.

---

*) Zobacz Ner. 59. »Gazety Lwowskiéj« z roku 1837, w którym ten sam środek teraz stwierdzony, przez pana Teodora Torosiewicza był podany.

Przypisek Redakcyi.

REDAKTOR J. N. KAMIŃSKI. — NAKŁADEM SPADKOBIERCÓW F. KRATTERA. — DRUKIEM P. PILLERA.